

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 31 października 1914.** **Nr. 44.**

Pamięci naszych bohaterów.



Pamięci naszych bohaterów.

Listopad — dla nas Polaków to nie tylko wspomnienie umarłych, rozpaczne spojrzenie wstecz, na ten sznur mogił, do których złożyliśmy wraz ze szczątkami bohaterów chwilowe nadzieje, wzloty i ofiary dwóch blizko wieków — dla nas jest on poważnem, stałem *memento,* że obfity ten posiew krwi naszych najszlachetniejszych nie poszedł na marne. Zabili wodzów i bojowników, Ojczyznę zakutą w kajdany zagrzebali w grobie, ale nie zabili nam ducha, który żyje i wciąż płonie, bo nie masz dlań trumny ni śmierci. Każda furya naszego odwiecznego wroga — Moskwy, która wszelkich wysiłków dokładała, by zgnębić nas i unicestwić, jak to uczyniła politycznie, była świadectwem jej słabości i lęku, by z cmentarnego kraju nie powstali mściciele i ukarali tę zbrodnię, jakiej na żywym narodzie dokonała. Rosya jest nie tylko naszym wrogiem, jest największym wrogiem ludzkości, którą całą radaby wtłoczyć w swe jarzmo. W nas zaś widzi tylko spiżowy posąg protestu, ciągle gnębiony a jednak zawsze groźny. Polska była dla Rosyi symbolem buntu i rewolucyi, Polska spędzała zawsze sen z powiek petersburskiego satrapy, ona była jego sumieniem, które chciał zagłuszyć morzem krwi w niej przelanej — a widmo wciąż stało mu w oczach i zapowiadało odwet.

W każdej zaś gorętszej chwili dziejowej, czy wewnętrznym przełomie lub wojnie na zewnątrz, łagodniała w Polsce dłoń siepaków rosyjskich, a rząd poczynał do nas umizgi, które kończyły się wraz z minięciem kryzysu państwowego, by ustąpić miejsca jeszcze sroższemu prześladowaniu.

Tak też i obecnie w dobie olbrzymiej wojny, strasznego bóstwa o stalowych skrzydłach i armatniej gardzieli, które zabija poszczególnych ludzi, lecz poczyna państwa i narody — Rosya znów zadrżała i jęła się swej perfidnej taktyki i obietnic.

Ale nie zwiedzie nas to znane kuszenie, które ma na celu tylko odwleczenie porachunku dziejowego i rozszarpanie nas na grupy kunktatorow. Nasza droga jasna jest i prosta, wytyczyli ją nam bohaterzy z pod Racławic, Lipska, Raszyna, Miechowa, co woleli śmierć-męczeńską lub wygnanie niźli, przymierze z nieprzejednanym wrogiem.

W Dniu Zadusznym stoimy u tych drogich nam grobów i ślubujemy wierność ich hasłom i ideom, t. j. walce, walce na śmierć i życie z Moskwą, by nie chłostały nas już prorocze słowa poety:

...„O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym;
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym:
Póty mieć będziesz hyenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!“..

* * *

Gdy miną straszliwe wojny; gdy ludzkość ujrzy w pełni grozy obraz całości, złożonej z niezliczonej liczby szczegółów, epizodów, tę krwawą mozaikę cierpień, bólów, mąk, nędzy, bohaterstwa, poświęcenia, dzielności ramienia i hartu ducha; gdy historya przystąpi do spokojnej likwidacyi minionych dni, wypłynie niewątpliwie na najchlubniejszej jej karcie niejedno polskie nazwisko, związane z szarym mun-



Grobowiec Tadeusza Kościuszki na Wawelu.



Grobowiec księcia Józefa Poniatowskiego na Wawelu.

Pamięci naszych bohaterów:



Grób bojowników roku 31 na cmentarzu krakowskim.



Grób pięciu poległych na cmentarzu powązkowskim w Warszawie.

Pamięci naszych bohaterów:



Pamięci naszych bohaterów: Grobowiec Adama Mickiewicza na Wawelu.



Pamięci naszych bohaterów: Grób żołnierzy poległych w jednej z ostatnich bitew.

durem Legionisty, tego nowego w dziejach współczesnych bojownika naszej idei.

A jeżeli już dziś, gdy zmagają się miliony, gdy giną tysiące w bezimiennem bohaterstwie, nie brak głośnych czynów naszej polskiej armii, dowodzi to, że ten Legionista, ten „urodzony żołnierz“ zasłużył już i zasłuży jeszcze na to uznanie, którem go darzą nawet nam niechętni i na tę dumę, z jaką nań patrzą w domu pozostali.

I nieraz już z pożogi wojny przyleciała do nas, jak ptak, wieść podniosła o chlubnych czynach tych naszych synów i braci i o ich bohaterskich wysiłkach. Już błysło niejedno nazwisko opromienione pięknym czynem bojowym. Wybłyśnie ich jeszcze wiele, na razie nieznanych, ale dobrze jest dla pokrzepienia ściśniętych serc, nie czekając historyi, podnosić i upamiętniać to, co na pamięć zasługuje.

Znana odezwa generalissimusa rosyjskiego Mikołaja Mikołajewicza, odmawiająca Legionistom praw kombatantów, znalazła odpowiedź w ich haśle: „Pol-



Pamięci naszych bohaterów: Grób powstańców 63 r poległych w bitwie pod Miechowem.
(Fot. S. Z. Czarnowski, Miechów.)



Pamięci naszych bohaterów: Grób powstańców 63 r. na cmentarzu krakowskim.






Pamięci naszych bohaterów: Groby polskich bojowników o wolność na cmentarzach paryskich.

Grób zbiorowy 20 tu żołnierzy polskich; leżą w nim zwłoki jenerała J. Wysockiego i innych.

Grób jenerała Ludwika Mierosławskiego, dowódcy powstania poznańskiego.

Grób majora Józefa Nabielaka, wybitnego belwederczyka i jego rodziny.

Grób sławnej bohaterki z r. 1863 Henryki Pustowojtówny.

ski Legionista nie prosi pardonu". Barbarzyńska odezwa Moskala nie strwożyła dzielnych serc. Legioniście nie żal życia, lecz sprzedaje je drogo. Pięknym czynem stwierdził to na polu chlubnej potyczki w Kobylnikach Legionista I pułku St. Lorenz. W zawierusze walki odcięty od swoich, otoczony, stracił konia. W mężnej obronie położył trupem sześciu kozaków, zaś ostatnim strzałem rewolwerowym odebrał sobie życie.

I jeśli w dziejach ludzkości siła ducha i szlachetność serc są podstawą istnienia społeczeństw i narodów, możemy z ufnością patrzeć w przyszłość, skoro na jej „szańce, Bóg takie rzuca kamienie"..

Na terenie walk w Galicyi.

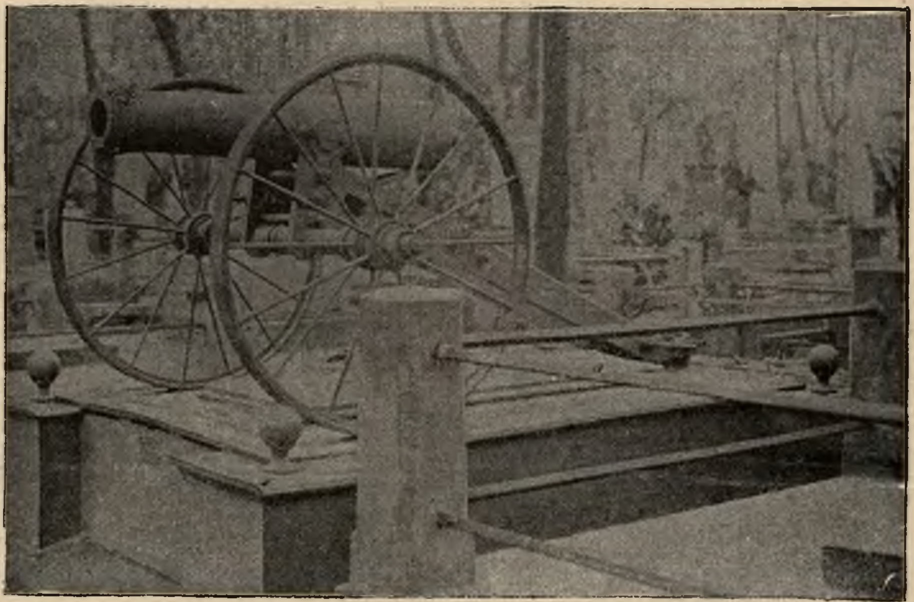
Sytuacya wojenna tak się ułożyła, że zarówno Królestwo Polskie jak i znaczna część Galicyi znalazły się w ogniu najzaciętszej walki. W obecnej fazie wojny toczą się bitwy na olbrzymim froncie od Płocka aż po Karpaty.

Trzy momenty główne dadzą się rozróżnić na tym ogólnym terenie wojny: walki pod Ełkiem, pod Warszawą i na wschód od Przemyśla. Pozostają one ze sobą w związku organicznym, są kierowane jednolicie i mają za cel jedną wspólną akcyę przeciw jednemu nieprzyjacielowi. Punktem ciężkości tych starć jest Warszawa, koło której, zwłaszcza na południe od miasta, toczą się główne walki. Ku Warszawie też, jak stwierdza sprawozdawca wojskowy „Pester Lloydu", grawituje wszystko, co z obu stron dzieje się na potężnym froncie wojny. Wszystko inne ma tylko ten cel, aby działanie pod Warszawą wypadło jak najsilniej, zaś działanie przeciwnika jak najsłabiej.

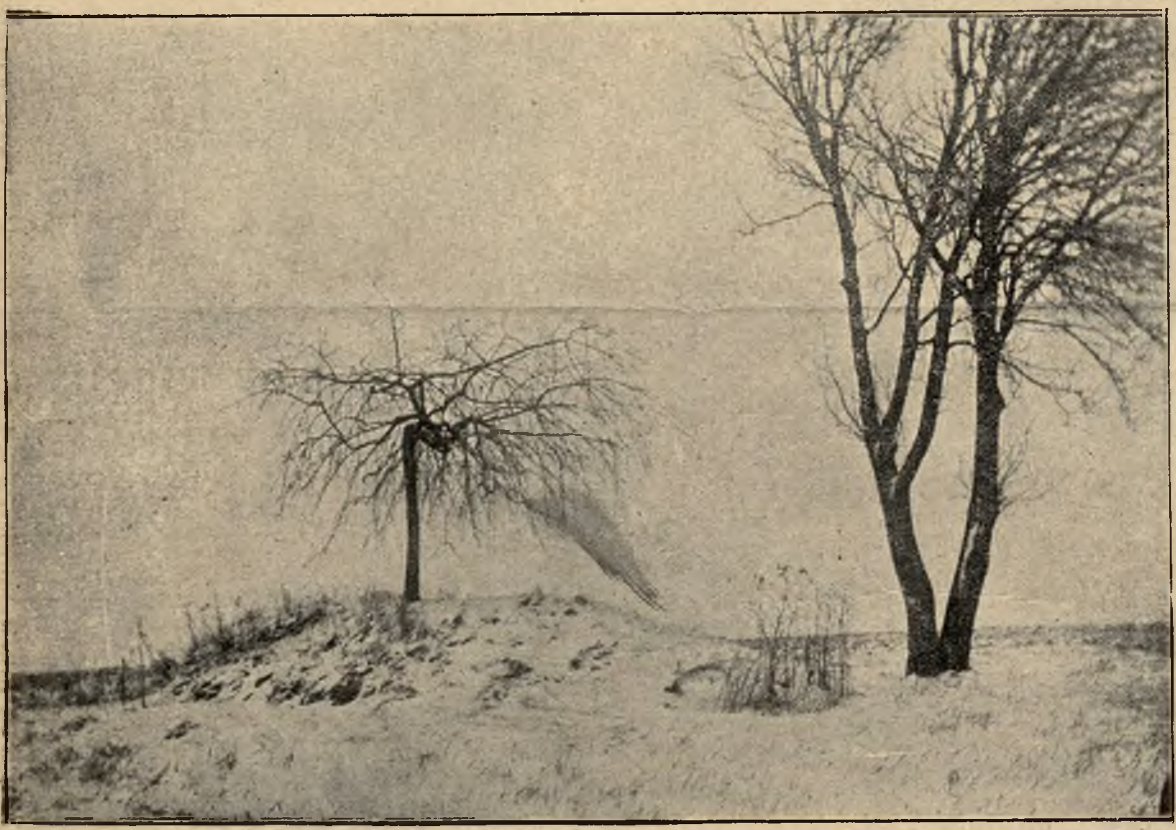
Z tego względu okazuje się też, jak ważne strategiczne znaczenie mają sukcesy ofenzywy austryackiej na wschód od Przemyśla i w Karpatach. Każdy krok, uczyniony tam naprzód, odbija się pod Warszawą. Im dalej posuną się wojska austryackie w Galicyi, tem bardziej występuje niebezpieczeństwo oskrzydlenia frontu rosyjskiego na linii Warszawa-Dęblin od strony Lublina.

Z tego powodu a jeszcze bardziej ze względów politycznych Moskale postanowili za wszelką cenę utrzymać się w Galicyi wschodniej, z której uczynili jeden ufortyfikowany obóz. To też armii austryackiej przypadło w udziale niezmiernie trudne zadanie — bo złamanie rosyjskich zbrojnych sił tam, gdzie one, zarówno ze względów strategicznych, jak i politycznych, najzajadlej i z największym uporem walczą. Pomimo to ofenzywa austryacka odniosła w ostatnich dniach cały szereg poważnych sukcesów, odbierając w krwawych walkach piędź po piędzi ufortyfikowane pozycye rosyjskie i wypierając powoli, ale stale inwazyę rosyjską, która zostawiła wszędzie swe dzikie barbarzyńskie ślady.

Jednem z miast, z których wypędzono już Moskali, jest Jarosław. Moskale gospodarowali tam przez 3 tygodnie, a jako pamiątka po ich pobycie pozostały tam... zrabowane sklepy i mieszkania prywatne. Uciekając zaś aresztowali 30 obywateli miejscowych i wywieźli ze sobą.



Pamięci naszych bohaterów: Pomnik-armata na mogile polskiego jenerała Jędrzeja Węgierskiego na cmentarzu powązkowskim w Warszawie, obok „grobu pięciu poległych".



Pamięci poległych bohaterów: Mogiła poległych w bitwie pod Racławicami w r. 1794.



Pamięci naszych bohaterów: Pomnik chorążego powstania z roku 1863 ś. p. Kazimierza Wizunas-Szydłowskiego na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.

STANISŁAW SŁAWIECKI.

NA OSTRZU BAGNETU.

OPOWIADANIE.

Wolno mijali ostatnie domostwa. Miasto z każdą chwilą zostawało coraz dalej za nimi, malało, bladło... Jeszcze widać było tu i owdzie pojedyncze światełka w małych okienkach przedmiejskich domostw, dochodziły słabe odgłosy słaniającego się do snu podmiejskiego życia, i wszystko znikło, przepadło gdzieś w nocnej mgle.

Wilgotna cisza trwała, pochłaniając miarowy stukot kół i ciężki oddech stalowego potwora, wlokącego za sobą długi szereg wyładowanych ludźmi wozów.

Ciemny, sinemi chmurami zasłany granat nieba, bez kresu ciągnące się obszary pól bez śladu życia; to wszystko w jakąś przepastną zlewało się toń, przygniatającą swą straszną potęgą.

Cisza tam legła, lecz jakże wymowna.... Chwilami tylko snop migotliwych, ognistych iskier się przesunął i smuga popielatego dymu...

W wagonie cisza.

Ponure cztery ściany dużego wagonu, dokładnie ludźmi wypełnionego, blado tylko oświecała zawieszona na ścianie latarka. Ludzie poukładali się na skąpo zasłanej na podłodze słomie; jedni leżeli bez ruchu, czyniąc wrażenie śpiących, inni wsparci o tornistry siedzieli, niemy wzrok w jakimś, w myślach wytworzonym obrazie utkwiwszy.

Dobiło stał w otwartych drzwiach wozu, oparłszy się łokciami o drąg tam umieszczony.

Stał bez ruchu i uparcie patrzył w ciemną noc. Nie widział nic, głuchy na wszelkie odgłosy życia. Myślą i sercem, pragnieniem i tęsknotą pozostał tam... wśród tych w dali już pozostawionych podmiejskich domostw.

Tam, na pięterku, w nizkiej izdebce siedział teraz przy stole, jak codzień o tej porze, i czytał na głos przyniesioną gazetę; obok niego młoda, przystojna kobieta, z dobremi, jasnemi oczyma, wsłuchana w dźwięk jego męskiego głosu, z czułością weń wpatrzona. Jakże miło jest odczuwać spoczywający na nas wzrok kochającej i ukochanej przez nas osoby... Więc dobrze mu, jak dobrze... Oczy śmieją się szczęściem i zadowoleniem, a czoło pogodne.

Gdzieś z nieoświeconej części izdebki odzywa się dziecięcy srebrny śmiech. He, he, he... ha, ha... to mały jego pięcioletni dzieciak, Zbyś, przez sen do życia się śmieje. Budzi się i znowu się śmieje. Wyciąga do ojca swe dziecinne łapki.. tatuś! tatuś — mówi pieszczotliwie.

Dobiło przetarł oczy i nienawistnie spojrzał we wnętrze panującej ciemności.

Tamto już wszystko minęło, przepadło. Ta noc czarna niemal pochłonęła ich i rozdzieliła. Może na... zawsze...

Coś, jakby rozpacz, opanowała jego myśl na chwilę, straszna, gnębiąca rozpacz przygniotła świadomość istnienia, odebrała możność odczuwania... Myśli kłębiły się w jakichś nieokreślonych podrygach, w szalenie dzikim tańcu bolu i tęsknoty.

Dobiło wstrząsnął głową, jakby chciał z niej zrzucić ciążące na niej jarzmo i błędnym wzrokiem spojrzał poza siebie we wnętrze wagonu, szukając dla siebie miejsca, gdzieby mógł spocząć.

Nie namyślając się długo, wybrał je między dwoma śpiącymi towarzyszami broni i usiadł.

— Zasnąć, zasnąć — szeptał do siebie, chcąc się zmusić do porzucenia gnębiących go myśli.

— Zasnąć, nie myśleć o niczem...

— Wrócę niezadługo, wrócę zdrów, a wtedy szczęście tem cudniejszym zadygoce blaskiem.

— Tchórzem nie byłem i nie będę, męskości! siły! — wołała wola.

Wstyd mu się zrobiło poprzednich myśli, rozmarzenia.

— Ot, zasnąć, jak ci obok i kwita... a jutro, świt wszystko w innych ukaże kolorach.

Spojrzawszy na śpiących bez troski, głośno chrapiących ludzi, nie mógł się obronić przed uczuciem złości do nich i żalu.

— Śpią sobie, jakby nigdy nic, a tam... moja żona, Zbyś...

I znowu rozczulenie jęło go opanowywać. Myśli krążyły niestrudzenie.

...między tłumem kobiet i dzieci dojrzał ją... podnosiła Zbyszka na rękach i niemo się weń wpatrzyła. Ręki nawet widocznie nie mogła unieść w górę...

Żegnała go łzami...

Zbyś rączką słał mu pocałunki od ust dziecięcych, śmiejąc się doń swym jasnym uśmiechem...

Pociąg ruszył.

Jeden głos nie zmącił uroczystej chwili. Tłum żegnał odjeżdżających poważnie, serdecznie...

Ręka Zbysia długo się poruszała, niosła mu pożegnanie, pociechę... nadzieję...

Wszystko znikło...

Z kąta wozu dał się słyszeć cichy, suchy trzask, mały płomyk błysnął i wnet ukazała się smuga błękitnego dymu. Ktoś zapalił fajkę...

Dobiło zmęczonym ruchem wydobył papierośnicę i zapalił papierosa.

Noc trwała.

— — — — — — — — — — — — — —

Kompania szła miarowym krokiem. Żołnierze milczeli, zmęczeni długim, całodniowym niemal marszem. Okryci byli kurzem, twarze mieli spocone.

Dzień był jesienny, parny. Ziemia spragnioną była deszczu. Z drogi, z pod setek nóg obutych, ciężko kroczących, unosiły się tumany prochu.

Zbliżali się do lasu.

Komenda. Stanęli.

Na łące pod lasem miano rozbić obóz i przenocować. Wysunięto straże i oddział rozłożył się na suchym trawniku. Z szeregu, w niewielkiej odległości za oddziałem ciągnących wozów, wyjechał jeden niewielki, w parę zaprzężony koni i wnet rozeszła się w powietrzu nęcąca woń gotowanego w kuchni polowej mięsa.

Żołnierze gromadzili się dokoła kuchni i grupami zasiadali do jedzenia. Wieczerzę popijano łykiem gorzałki, zapalano fajki, papierosy... Nastrój od razu stał się weselszym. Śmiano się, nucono półgłosem żołnierskie piosenki...

Ten i ów, ułożywszy tornister pod głowę, zasypiał natychmiast snem twardym strudzonego człowieka; inni gawędzili swobodnie, lecz oczy wszystkich zwolna się kleiły. Jeszcze cień zupełny ziemi nie naszedł, a wszyscy już prawie spoczywali w śnie.

Dobiło leżąc, dopalał papierosa i oczyma bezmyślnie śledził poruszające się wolno chmury. To go zajmowało całkowicie.

Jedna ciągnęła za drugą, wolno spokojnie... Cisza była wkoło zupełna i zdała się go kołysać do snu.

Obrazy zaczęły się mieszać, myśl błąkała się gdzieś leniwo, coraz leniwiej...

Dobiło odczuwał lekkie omdlewanie ciała, popadał w sen.

Zasnął.

Zbudziła ich trąbka — rozkaz. Szybkim marszem ruszono naprzód. Przedarli się przez gęsty las i szli dalej szybko, coraz szybciej.

W pewnej chwili stanęli. Dały się słyszeć strzały; zrazu przygłuszone, nieliczne, potem już całkiem wyraźne salwy, coraz częstsze, bliższe.

Ordynans na spienionym koniu wpadł w ich szeregi. Przywiózł jakieś rozkazy, oddał dowódcy i znikł tak szybko, jak się pojawił.

Oddział rozbił się na małe oddziałki, zostawił za sobą rezerwy i ruszył wyciągniętą linią naprzód. Głośne rozkazy oficerów mieszały się z odgłosem bliskich strzałów. Kule zaczęły świstać tuż nad głowami żołnierzy. Ten i ów pochylił instynktownie głowę i szedł naprzód.

W tej chwili dał się słyszeć suchy, mnogi trzask, naprost oddziału w odległości kilkuset kroków ukazała się długa linia błękitnego dymu, suchy trzask i świst setek przelatujących kul.

Linia zachwiała się, kilku żołnierzy osunęło się na ziemię...

Inni momentalnie legli na ściernisku i poczęli strzelać gwałtownie.

Ruszyli częściami naprzód, biegnąc szybko i znowu przypadali do ziemi, znowu strzelali...

Dobiło biegł z innymi, przypadał do ziemi, celował zimno, strzelał...

Czynił to wszystko ze spokojem, mechanicznie, nie myśląc zupełnie, co czyni.

Potem krótki a ostry, jak stal, rozkaz przeniknął całe jego jestestwo. Zebrał się w sobie, w obie dłonie pochwycił karabin i z nadstawionem ostrzem bagnetu począł biedz co sił...

Stracił nad sobą panowanie; nie wiedział dokąd biegnie, jak długo...

Bić, bić — huczało mu w głowie — a mocno! Kule przestały świstać, żołnierze krzyczeli ochrypłymi głosami:

Hurra—a! hurra—a!

Nieprzyjaciel uchodził.

— — — — — — — — — — — — — —

Odpoczywano. Oddział otrzymawszy dalsze dyspozycye, umocnił swoją pozycyę, wykonawszy szereg robót ziemnych. Pozycya ta żadną miarą nie mogła się dostać w ręce nieprzyjaciela. Pomimo szczupłych sił można jej było bronić z powodzeniem. Ewentualną obronę ułatwiały wcale dogodne warunki terenowe. Pozycya była na małem wzniesieniu i górowała nad doliną, skąd mógł nadciągnąć nieprzyjaciel. Na skrzydłach oddziału z jednej strony płynęła rzeka dość obfitująca w wodę, a z drugiej szereg domostw, z których skrycie można było razić nieprzyjaciela.

Wkrótce nadciągnęła baterya z sześciu dział i zajęła również dogodną pozycyę.

Czarne paszcze armat groźnie, ponuro patrzyły w dal, jakby szukając ofiary...

Na razie cisza była i spokój.

Dobiło wraz z kilkunastu towarzyszami znalazł się w jednym z domów. Nieprzyjaciel cofał się zbyt szybko, ażeby mógł zniszczyć zabudowania. Slady jego chwilowego tutaj pobytu były jednakże aż nazbyt widoczne. Szafy i stoły porozbijane, naczynia potłuczone...

Z mieszkańców ani śladu. Przeszukano dokładnie budynki i nie znaleziono nikogo. Zgotowawszy posiłek, kładziono się spać. Jeden rzucał się obok drugiego na podłogę, nie bacząc na nic i zasypiał kamiennym snem.

Dobiło znalazł się na strychu. Przez szpary pomiędzy gątami sączyły się srebrne nitki bladego księżycowego światła i swobodnie igrały wśród rupieci bez ładu tutaj poskładanych, a przez żołnierzy po całej przestrzeni strychu porozrzucanych.

Dobiło rozłożył swój koc i ułożył się do snu.

Cisza była zupełna; tylko od czasu do czasu dochodził jakiś głos, stłumiony stukot ciężkich kroków — to straże.

Dobiło odczuwał rozkosz spoczynku. Wyciągnął dokładnie nogi, przeżegnał się i zmrużył oczy. — Chwilami na końcach rzęs drgały mu jeszcze promienie księżyca, znikały, znowu się pojawiały...

Było w tem coś ciepłego, radosnego; jak pieszczota kołysało go to do snu...

Nagle dał się słyszeć łoskot upadającej deski. Dobiło zerwał się i usiadł. Nadsłuchiwał.

Cisza trwała nieprzerwanie.

W padających przez dach promieniach świetlnych zawirowały miliony pyłków, tworząc wielobarwne, figlarne smugi.

— Deska się usunęła — pomyślał Dobiło, spojrzawszy na stos obok leżących belek i uspokojony zupełnie położył się z powrotem.

Niedługo jednakże spoczywał w spokoju. Za chwilę posłyszał z tej samej strony pochodzące, ciche, ledwie dosłyszalne szmery.

— Myszy? — pomyślał w pierwszej chwili; uniósłszy jednakże ostrożnie głowę i nadstawiwszy uszu, dokładnie posłyszał jakieś delikatne suwanie. Coś jakby czołganie się...

— Tam musi być ktoś ukryty...

Szereg myśli — błyskawic przemknęło mu pod czaszką. Poczuł lekki dreszcz.

Nie ruszał się.

Cisza była nieskończona. Księżyc świecił...

Jakiś dziwny tajemniczy spokój...

Znowu szelest.

Dobiło zerwał się, chwycił karabin i jednym skokiem znalazł się przy stosie rupieci. Odwalił jedną belkę, drugą, jakąś deskę odrzucił na bok...

Coś jęknęło...

Stłumione, mimowolne westchnienie...

Dobiło stanął osłupiały.

Z pod stosu desek błyszczała para oczu. — W ciemności nic więcej dojrzeć nie można było.

— Łotrze! — pomyślał groźnie, czując lekkie ciarki, przebiegające wzdłuż ciała.

— Wyłaź, bo ubiję — warknął zachrypłym głosem.

Cisza. Nic się nie ruszyło.

— Wyłaź, bo ci w te ślepia wpakuję bagnet...

Znowu cisza...

Dobiło pochwycił nerwowo jeszcze jedną belkę i odrzucił na bok. Jeszcze drugą i trzecią...

. . . . . . w kałuży krwi dziecięce spoczywało ciało. Leżał chłopczyna maleńki, w kłębek niemal zwinięty...

Długie, jasne miał włosy, błękitne oczęta, szeroko rozwarte, ze strasznym patrzyły przestrachem, bólem, osłupieniem...

Sukienki krwią już stygnącą przepojone walały się w prochu.

Dobiło stał bez ruchu.

W oczach kręciły mu się gorzkie łzy, serce skowyczało z żalu...

— Jakiż on podobny do Zbysia — szepnęła mu myśl.

— Tak, tak...

— Może on również tam leży... z rozbitą kolbą główką...

— A Marysieńka...

Brrr... coś nim wstrząsnęło; lodowaty dreszcz przeszedł wzdłuż ciała i osiadł w sercu... Myśli zamroził...

Pochylił się nad tem nieszczęsnem, drobnem ciałem i dłonią dotknął jego czoła.

— Zimne...

Uniósł lekko drobne rączęta i chwilę trzymał w swoich.

— Uszło już to młode życie, uszło...

Przyjrzał się bliżej; mętnym wzrokiem wpatrywał się w tę drobną twarzyczkę zastygłą, w usta zesiniałe, trupie. Na piersiach miało rozdartą sukienkę i dużą, okrągłą niemal plamę krwi... tu się wryło wraże narzędzie śmierci.

Usiadł bezmyślnie na jednej z belek i głowę wsparłszy na dłoniach, patrzył w twarz dziecka.

— I za co... to, — za co?

— Czy zawiniło komu to dziecięce, niewinne życie?...

— Czy zawiniły te oczy dobre, te usta nieskażone?...

— Kto temu winien?...

— Kto? — pytała myśl strasznym, rozdzierającym głosem...

A cisza wlokła się niezmącona, najlżejszym nawet nie przerwana szmerem.

Było w tej ciszy coś tragicznego, rozdzierającego. Działo.

— — — — — — — — — — — — — —

Strzelali czas dłuższy, kryjąc się w zabudowaniach, potem wypadli w pole.

Jak huragan runęli na wroga.

— Na bagnety! — brzmiały stalowe rozkazy.

Biegli, jak szaleńcy, w puch rozbijając wszystko, co napotkali po drodze...

Wciąż rwali naprzód.

— Naprzód! naprzód! — wyło coś w mózgu Dobiły.

— Zabijaj, zabijaj... krwi — syczały myśli; rozdzierać, targać, miażdżyć, miażdżyć bez litości — domagały się wzburzone nerwy.

Za krzywdę naszą, za jęki i ból konających, za rozdzierające męki matek i żon, za dzieci niewinnie mordowane...

Zbudził się w nim zwierz oszalały, krwi łaknący...

— Na ostrzu mego bagnetu zemsta za ból, cierpienia, trwogi, niepokoje...

— Za płacz Marysieńki, za krzywdę, krzywdę straszną...

— Utopić ten bagnet...

— — — — — — — — — — — — — — —

Wstawał dzień w pożodze ognia i krwi...

Nie budził już tych, co spoczęli; odeszli w dal od znojów życia...

KONIEC.

Naczelny Komitet Narodowy.

W historycznym już dniu 16 sierpnia b. r. zebrało się Koło Polskie na plenarne posiedzenie w sali Rady m. Krakowa i rozważywszy chwilę i sytuacyę obecną uchwaliło wezwać podniosłym manifestem



Naczelny Komitet Narodowy: Członkowie N. K. N. (Siedzą od lewej do prawej): dr. L. German, szef departamentu skarbowego sekcyi wschodniej, red. Srokowski. jeneralny sekretarz sekcyi zachodniej, poseł Zieleniewski, zastępca szefa departamentu wojskowego sekcyi zachodniej, poseł L. W. Jaworski, prezes sekcyi zachodniej, inż. Wł. Sikorski, szef departamentu wojskowego sekcyi zachodniej, dr. I. Steinhaus członek sekcyi wschodniej. Stoją: red. R. Starzewski, szef biura prezydyalnego, dr. Tadeusz Starzewski, szef departamentu skarbowego sekcyi wschodniej, Ludwik hrabia Morstin, sekretarz biura prezydyalnego, inżynier Artur Hausner, zastępca szefa departamentu wojskowego sekcyi wschodniej, Ant. Górski, sekretarz biura prezydyalnego, dr. Z. Marek, zastępca szefa departamentu organizacyjnego, poseł M. Lisiewicz, reprezentant Polaków amerykańskich w N. K. N.

społeczeństwo polskie — do czynu i wspólnego, jednomyślnego wysiłku celem zdobycia wolności całej naszej nieszczęśliwej Ojczyźnie. Dla ujęcia, zjednoczenia i pokierowania prac w wytkniętym kierunku stworzono jawną i główną organizacyę pod nazwą: Naczelny Komitet Narodowy, łączący w sobie wszystkie stronnictwa i partye naszego kraju. Wychodząc z założenia, iż nie czas nam trwać w bezczynności, ani też biernie oczekiwać wyników wojny z naszym największym wrogiem, manifest Koła Polskiego powołał do życia Legiony, czyli zbrojne hufce ochotnicze polskie, by walczyły z Moskwą przy boku sprzymierzonych armii. Naczelny Komitet Narodowy uznano za najwyższą instancyę w zakresie wojskowej, skarbowej i politycznej organizacyi zbrojnych sił polskich, i ustalając na przyszłość to jego jedyne i zwierzchnicze stanowisko, wyłączono sta nowienie o politycznych sprawach Królestwa Polskiego z warunkiem, że może to nastąpić tylko w porozumieniu z organizacyą tamtejszą, zbudowaną na tych samych co Naczelny Komitet podstawach.

W skład Naczelnego Komitetu Narodowego weszli pod przewodnictwem prezesa Koła polskiego, dra Juliusza Leo, z wszystkich grup politycznych, pp.: Tadeusz Cieński, zastępca dr. Stanisław Kasznica, Witold ks. Czartoryski, zastępca ks. Andrzej Lubomirski, Ignacy Daszyński, zastępca dr. Zygmunt Marek, Jan Dąbski, zastępca Andrzej Sredniawski, dr. Ludomił German, zastępca dr. Władysław Stesłowicz, Józef Hudec, zastępca Artur Hausner, dr. W. L. Jaworski, zastępca dr. Tadeusz Starzewski, Józef Neumann, zastępca Edmund Riedl, Leon hr. Piniński, zastępca Aleksander Vogel, dr. Szymon Przybyło, zastępca Franciszek Wójcik, dr. Jan Rozwadowski, zastępca dr. Stanisław Głąbiński, Aleksander hr. Skarbek, zastępca dr. Stanisław Grabski, Konstanty Srokowski, zastępca dr. R. Krogulski, dr. Ignacy Steinhaus, zastępca Józef Sare, dr. Stanisław Stroński, zastępca dr. Stefan Surzycki. Hipolit Sliwiński, zastępca Władysław Sikorski, Zdzisław hr. Tarnowski, zastępca Stanisław hr. Badeni, dr. Bolesław Wicherkiewicz, zastępca ks. dr. Józef Zajchowski, Wincenty Witos, zastępca Wł. Długos, Edmund Zieleniewski, zastępca Jan Kanty Federowicz.



Naczelny Komitet Narodowy: Członkowie i pracownicy oddziałów departamentu wojskowego. Siedzą: p. H. Radlińska, skarbniczka, szef depart. inż. W. Sikorski i poseł E. Zieleniewski, 1) kap. Albinowski, dyr. pol. szkoły oficerskiej, 2) dr. M. Kukiel, ref. spraw wojsk., 3) St. Lewicki, sekr. prez. departamentu wojsk., 4) dr. M. Szarota, kom. etapowy w Krakowie, 5) dr. Kot, szef biura prasowego.



Naczelny Komitet Narodowy: Prz... z biur departamentu wojskowego.

Jak już wspominaliśmy w jednym z poprzednich numerów, zakres działań N. K. N. podzielono na dwie sekcye: wschodnią i zachodnią, lecz wypadki wojenne przerwały prace tej pierwszej, a przejęła



Naczelny Komitet Narodowy: Przed głównym składem intendentury Legionu w Krakowie.

je w znacznej części sekcya zachodnia, a głównie w kierunku wcielenia do kadr Legionu zachodniego wschodnich oddziałów.

Sekcyi zachodniej przewodniczy prof. poseł Władysław Leopold Jaworski, a zastępują go: poseł Ignacy Daszyński i poseł Wincenty Witos, a liczne oddziały i departamenty jak: prasowy, polityczny, skarbowy, wojskowy, techniczny, intendantury, sanitarny i t. p. pracują gorąco pod kierunkiem znanych działaczy i specyalistów.

Siedzibą N. K. N. jest dawny pałac hr. Hussarzewskich przy ulicy Poselskiej Nr. 8, obecnie własność magistratu, udzielony Komitetowi.

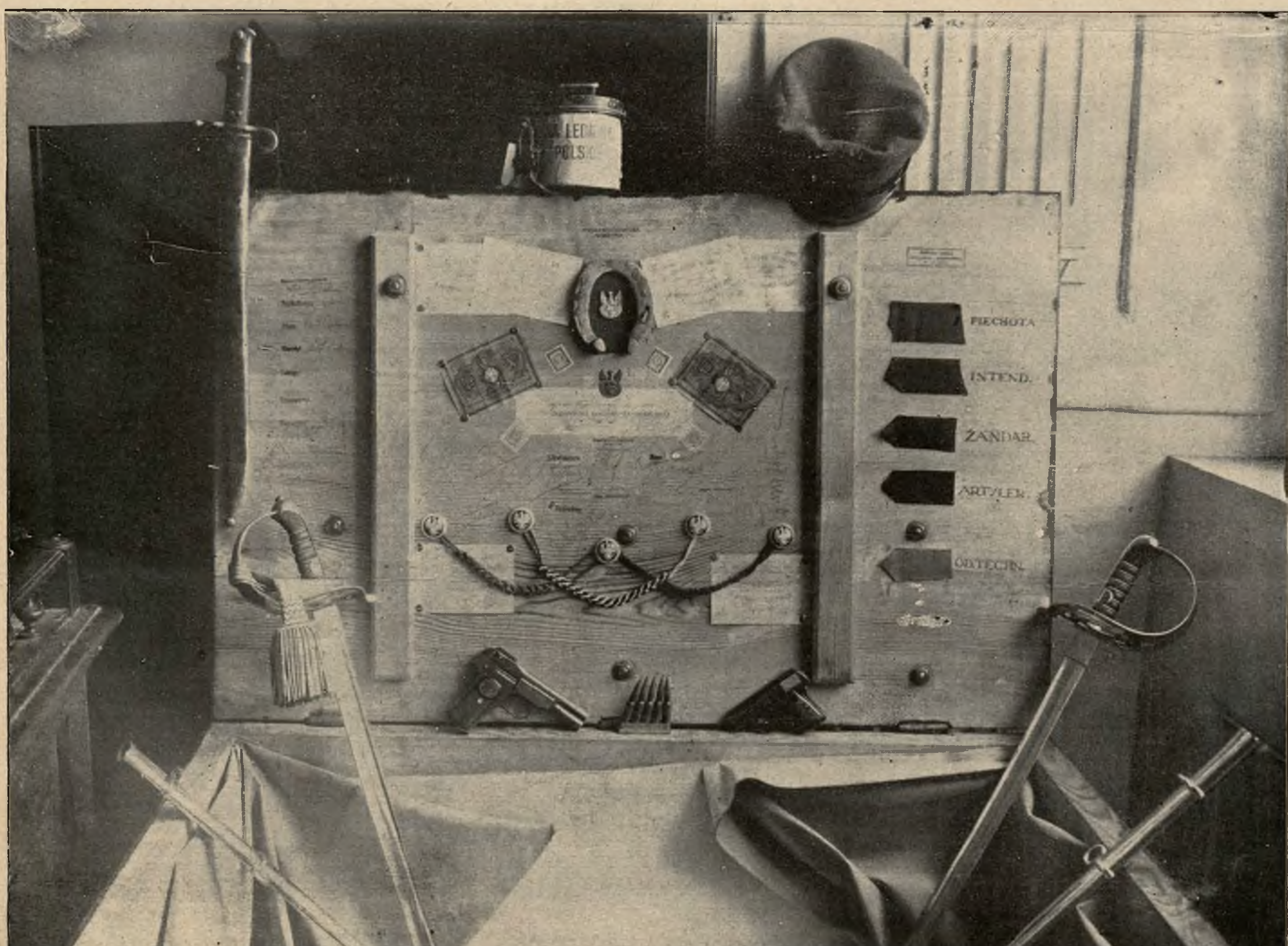
N. K. N. oraz cel jego, a już widomy rezultat — Legiony stworzyła ofiarność społeczeństwa, największa jaka być może, bo w dobrowolnej daninie krwi naszej młodzieży, którą serdecznie a hojnie poparła ochocza ofiarność materyalna całego kraju. Wszyst kie Rady powiatów i gmin, większe i drobne instytucye, zamożniejsze jednostki, a nawet najuboższe warstwy spieszyły złożyć swą cząstkę, swój zaoszczędzony grosz na rzecz polskich żołnierzyków, walczących dla dobra narodu. Znikła nieufność i spory, wszyscy pragnęli wziąć udział w tej wspólnej ofierze, a zapał rósł stale i rośnie dla sprawy, która tak pięknie łączy nasze tradycye narodowe z dobą obecną, gdy zda się nam świtać jutrzenka piękniejszego jutra. Legiony wszystkich połączyły, w ich szeregach znikły różnice warstw, stanów i przekonań, a skarb ich zgromadził obok wielu hojnych datków naszych magnatów także i setki drobnych ofiar włościan i rzemieślników.

Miasto nasze, będące sercem wolnej Polski, stało się centrem całego ruchu, którego tętno jeszcze żywiej bić poczęło, gdy wskutek zajęcia Lwowa przez Rosyan, tutaj przeniosły się agendy sekcyi wschodniej. Rada miasta uchwaliła na rzecz Legionu milion koron, a ten przykład pięknie podziałał na obywatelstwo. Spółka budowlana „Krzysztofory“ oddała na usługi Komitetu wspaniały gmach, któremu do historyi przybył obecnie tytuł głównej kwatery Legionów polskich.

Za temi posypały się inne ofiary: Rada miasta Podgórza przeznaczyła kwotę 50.000 kor., a inne miasta ponadspodziewanie poszły za tym pięknym przykładem. Poszczególni obywatele składali deklaracye, papiery wartościowe i kosztowności i mimo szkód, jakie obecna wojna wszystkim prawie pośrednio lub bezpośrednio wyrządza, ofiarność ta nie słabnie, a przerodziła się w stały i ochotnie ponoszony podatek narodowy.

Rozkaz dzienny N. K. N. z dnia 28 sierpnia złączył wszystkie poprzednie organizacye militarne polskie: Strzelców, Polowe Drużyny Sokole i Drużyny Bartoszowe w jedno ciało Legionu, a departament wojskowy Komitetu, któremu przewodniczy inż. Władysław Sikorski, zajął się ustaleniem prawnego stanowiska Legionu.

Legioniści otrzymali prawa kombatantów, a ostatnie ich mężne czyny na polu bitwy zjednały im stanowisko liniowego wojska armii austryackiej.



Naczelny Komitet Narodowy: Skrzynia ze wzorami odznak i broni Legionu w głównem biurze intendentury.



Naczelny Komitet narodowy: W głównym składzie intendentury Legionu przy ul. Gołębiej.



Naczelny Komitet Narodowy: W składzie intendentury Legionu na placu św. Ducha: góra butów.





Ratusz w Jarosławiu. **Na terenie walk w Galicyi:** Ulica Grunwaldzka w Jarosławiu.

Biuro wojskowo-prasowe, w którem pracują: poseł Ignacy Daszyński, prof. dr. Stanisław Kot i inni, ma na celu informowanie prasy naszej i zagranicznej o całym naszym ruchu i Legionów.

Śląsk utworzył u siebie osobną swą sekcyę, a działalność jej dała już znaczne wyniki w postaci kilku oddziałów wyćwiczonych i wyekwipowanych Legionistów.

Działalność Naczelnego Komitetu Narodowego objęła rychło najdalsze tereny, a organizacya powiatowa i komisarze N. K. N. pracują w różnych miejscowościach naszego kraju, a także na zajętych przez sprzymierzone armie terytoryach Królestwa Polskiego.

Poszczególne fazy formowania się Legionu i wyjazdu pułków na plac boju obrazowaliśmy już niejednokrotnie w naszem piśmie, obecnie chcieliśmy przedstawić choć pokrótce historyę powstania, oraz obecne, a mające już za sobą wielkie rezultaty, prace Naczelnego Komitetu Narodowego.

„Emden“ — latający Hollender.

Głośny krążownik niemiecki „Emden“, który staje się, a właściwie już jest wielkim postrachem całej żeglugi po oceanie Indyjskim — dał znów znać o sobie. „Emden“ uprawia partyzantkę *par excellence*, jest bowiem sam i wojażuje sobie w okolicach angielskich wybrzeży Indyj, bombardując porty i doki, oraz zatapiając brytyjskie okręty. Mimo pościgu całych fregat i czujności w portach, „Emden“ zjawia się tam, gdzie najmniej się go spodziewają i sieje zniszczenie oraz popłoch wśród wrogich flot.

Niedawno jak ucichło o tym nowoczesnym „latającym Hollendrze“, aż nagle ostatnie depesze z Colombo na Cejlonie przyniosły znów groźne dla Anglii wieści. Niespodziewany „Emden“ zjawił się gdzieś w tamtych stronach i zatopił pięć parowców angielskich, a jeden zabrał „do niewoli“.

Parowce te nosiły imiona: „Chiella“, „Troylus“, „Ben More“, „Grand“, „Clan“, a mały okręt handlowy — „Penrabel“, niewolnik zaś nosi czysto angielskie miano „Oxford“.

Wściekłość marynarki angielskiej niema granic z powodu tych znacznych strat, jakie straszliwy a nieuchwytny „Emden“ jej wyrządza. Najgorzej ich gniewa dotychczasowa bezowocność poszukiwań,



„Emden“ — latający Hollender: Krążownik niemiecki „Emden“.

pogromicielski bowiem krążownik wymyka się pogoni i grozi wciąż nowemi klęskami.

Wizyta Arcyksięcia Salwatora w szpitalu.

Z końcem zeszłego miesiąca odwiedził krakowski szpital pułkowy nr. 15 Arcyksiążę Salwator, który bawiąc w naszem mieście, przybył tam w otoczeniu swej świty oraz sztabu tutejszego.

Dostojnego gościa powitali u wejścia i oprowadzali po gmachu miejscowi lekarze z komendantem szpitala drem Sukiem, naczelnikiem sanitaryuszy i porucznikiem inspekcyjnym drem Strassmannem na czele. Arcyksiążę zwiedzał szczegółowo zakład, zaczynając od oddziału chorób wewnętrznych, zostający pod zarządem prof. Latkowskiego. O pracy znanego profesora i jej świetnych rezultatach wyrażał się Arcyksiążę z wielkiem uznaniem, poczem udał się do oddziału chirurgicznego, gdzie oprowadzany został przez sztabowego lekarza dra Michla. Tutaj przedstawiły się Arcyksięciu panie, należące do Czerwonego Krzyża, z którymi dostojny gość długo i serdecznie rozmawiał, informując się o rannych i szczegółach ciężkiej służby samarytańskiej.



Po pogromie w Belgii: Kawalerzysta niemiecki prowadzi przywiązanych do siodła belgijskich wolnych strzelców (franktireurów).



Zbiegowie galicyjscy na Morawach: Mieszkanie kilku rodzin w Nikolsburgu na Morawach.

W dalszych salach, operacyjnej i opatrunkowej, przedstawiono Arcyksięciu pracujących tam lekarzy, którym w ciepłych słowach dziękował za pracę i troskliwość przy rannych. W pawilonie oficerskim zabawił Arcyksiążę dłuższą chwilę, rozmawiając z rannymi oficerami.



Wizyta arcyksięcia Salwatora w szpitalu: Arcyksiążę Salwator (X) w gronie personalu szpitala pułkowego Nr. 15 w Krakowie.

Zbiegowie galicyjscy na Morawach.

Zawierucha wojenna, jaka przeciągnęła przez nasz nieszczęśliwy kraj, wygnała setki jego mieszkańców na obczyznę, gdzie schronili się, by tam ocalić bodaj życie. Znaczną część tych dobrowolnych a także i przymusowych uciekinierów, których władze wydaliły z zagrożonych siedzib, stanowią biedacy z przedmieść i uboższych dzielnic naszych miast i miasteczek. Wojna wyrzuciła ich z miejsc zasiedzenia i wraz z jej grozą powieźli ze sobą swą biedę, nieodstępną ich towarzyszkę. Podnieść należy, iż zarządzenie władz, wydalające tych biedaków, ustaliło im i wielce polepszyło dolę, pozostając bowiem w twierdzach lub znajdujących się na terenach bitew miejscowościach, cierpieliby straszną nędzę, powiększoną o okropności wojny. Przesiedleni na czas krytyczny do spokojnych miejsc, mają zapewniony tam byt od rządu, w formie stałych zapomóg na utrzymanie i przytułku od Morawian i Czechów, goszczących chętnie zbiegów. Życzliwa opieka rządu i komitetów miejscowych, oraz komitetu polsko czeskiego w Pradze ze znanym naszym przyjacielem redaktorem Hovorką na czele, pozwoliła zbiegom przebyć pomyślnie najcięższe chwile Galicyi.



Po pogromie Belgii: Jenerał Emmich, dowódca armii niemieckiej, operującej w Belgii

W Nikolsburgu na Morawach zbudowano olbrzymie baraki, gdzie znalazło pomieszczenie 6000 zbiegów z naszego kraju i Bukowiny. Baraki te posiadają liczne drobne, jednoizbowe mieszkania z kuchniami, aby mogli w nich zbiegowie prowadzić swe prowizoryczne gospodarstwa.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

21

Wampiry, nie mieli, wyraźnego, specyalnego języka; rodzaj wstrętnego śmiechu i mruczenia, którem objawiali gniew swój lub zdziwienie, był jedynym dźwiękiem jaki u nich słyszałem.

Kiedy chcieli się porozumieć między sobą, stawał jeden naprzeciw drugiego i udzielali sobie wzajemnie swoich spostrzeżeń, wpatrując się w siebie i odgadując w ten sposób myśli wzajemne, jak to czynią odgadywacze myśli ludzkich.

Obznajomiłem się z tymi szczegółami i wielu jeszcze innymi w krótkim bardzo czasie. Z początku Wampiry, krążyli wolno koło mnie, jakgdyby onieśmieleni, a może aby mnie przekonać, że nie żywią co do mojej osoby żadnych złych zamiarów. Jeden z nich zawiódł mnie do podziemnej sali, która uszła mojej baczności, a która zawierała wielką obfitość zapasów, mogących mi służyć do pożywienia.

Okazał się nawet grzeczny do tego stopnia, że otworzył na moją intencyę, pokrywę jakiegoś słoja, posługując się przy tej czynności długiemi ssawkami, których miękkie i wilgotne dotknięcie nabawiało mnie takiego wstrętu.

Członki te, w ilości pięciu z każdej strony, które przyrównywałem do kłębka żmii, posiadały nadzwyczajną siłę i sprawność.

Podobne to było i do łap, a właściwie palców i do szczypców długich i miękkich. Wampiry, posługiwali się niemi zręcznie i szybko; podejmowali z ziemi przedmioty najdrobniejsze, zawiązywali w zgrabny węzełek cienką nitkę i poruszali z wielką dokładnością wszelkiemi narzędziami i bronią.

Niekiedy chodzili na tych zesztywniałych mackach ze skrzydłami opuszczonemi ku ziemi, na podobieństwo motylów — to znowu zawieszali się niemi u sklepienia, rozciągając je jak pijawki. Ciekawym ich obyczajom, przyglądałem się zawsze z ciekawością.

Usłyszawszy słowo „ssawki" — lord Frymcock nie mógł się powstrzymać od spojrzenia żałośnie, na swoją pokaleczoną rękę. Ale tylko jeden Pitcher zauważył ten zwrot i uśmiechnął się uspakająco do kuchmistrza.

— Widziałem — mówił Robert Darvel — jak dźwigali bez wysiłku największe ciężary.

Co zaś do skrzydeł, lekko zaokrąglonych, nie były one mięsiste i powykręcane jak u Erloorów, prawdziwych mamiferów. Składały się z jakiejś twardej, a lekkiej substancyi, naprzykład jak u świtezianek i niektórych owadów.

Jednakże, pomimo przyjacielskich stosunków jakie utrzymywaliśmy dotąd, nie mogłem długi czas przyzwyczaić się do tych wstrętnych oblicz larw ohydnych, żelatynowatych i sinych, a przecież mających w sobie coś z ludzkiej twarzy! Te oczy bez powiek, błędne i bez wyrazu, jak oczy umarłych, sprawiały mi ciągle nieprzyjemne uczucie, którego opanować nie byłem w stanie. Chciałem koniecznie przezwyciężyć ten wstręt, chcąc bliżej studyować te oryginalne istoty, ale przychodziło mi to z wielką trudnością. Miałem wrażenie, że mieli poczucie swojej wstrętnej brzydoty, bo uważałem, że nieśmiało unikali mojego spojrzenia.

Nie wiedząc jak wejść w bliższe zetknięcie się z nimi, próbowałem raz narysować na deszczułce, kawałkiem węgla, owoc najczęściej spotykany na planecie; wielki kasztan wodny. Pokazałem ten rysunek z daleka jednemu Wampirowi, który jak zauważyłem poświęcał mi najwięcej zainteresowania. Ku mojej radości zrozumiał odrazu i odpowiedział rysując z najdrobniejszymi szczegółami ten sam owoc na drugiej deszczułce, poczem, odbiegł szybko, rozłożywszy szeroko skrzydła do lotu i powrócił w krótkim czasie, niosąc owoce żądane przezemnie.

Odtąd coraz częściej używałem tego środka komunikacyi, do którego wkrótce dołączyłem inny. Zaprowadziłem mojego przyjaciela Wampira do sali gdzie były nagromadzone haftowane materye i dałem mu do zrozumienia, aby skompletował dla mnie te obrazy przez własnoręczne rysunki.

Chwilę stał nieruchomy, jakgdyby zastanawiając się, poczem ujął mnie ostrożnie za rękę i postawił naprzeciw siebie. Czas jakiś stał tak przedemną, usiłując odgadnąć moje myśli, poczem uczynił to, co od niego żądałem.

Doświadczenia te powtarzały się coraz częściej, ale nie oddziaływały na mnie dobrze, nabawiały mnie bólu głowy i silnego zdenerwowania.

Ale mój przyjaciel Wampir, nadużywał czasem swojej siły hypnotycznej; zdarzało się niekiedy, że byłem zmuszony pomimo woli, na życzenie tego potwora, słuchać jego rozkazów i napróżno starałem się uwolnić z pod tego niepożądanego wpływu.

Zmuszał mnie naprzykład do zatrzymania się w chwili kiedy szedłem i do powrócenia do niego, albo rozkazywał mi udać się do oddalonej galeryi, celem obejrzenia jakichś ciekawych, niewidzianych jeszcze przedmiotów. Muszę jednak dodać, że zamiary mojego oryginalnego inicyatora, były zawsze dobre; starał się usilnie zrozumieć mnie, ale pomimo jego szczerych wysiłków, a mojej dobrej woli, nie mogliśmy się we wszystkiem porozumieć. Istniała między nami przepaść, nie do wypełnienia. Niektóre z moich pojęć, odczuć i wrażeń, musiały na zawsze pozostać dla niego nieznane i niezbadane.

Nie mogłem poczynić wiele spostrzeżeń i notatek o narodzie tych niezwykłych istot, zapomocą tych rozmów bez słów.

Dowiedziałem się tylko z rysunków, zręcznie wykonywanych przez tego potwora, kawałkiem miękkiego węgla, że nie obce im wszystkim były, moje barwne w najskrajniejsze wypadki, ciekawe przeżycie na planecie Marsa. Wyrysował mi dokładnie pierwszą porażkę Erloorów, zwyciężonych ogniem, śmierć Rombra i podobizny dosyć trafne moich biednych Marsianów i małej przyjaciółki Eeoys. Dał mi do zrozumienia, że Wampiry, byli o ile mieli do tego ochotę, zręcznymi rzemieślnikami i uprawiali niejedno rzemiosło. Przodkowie ich wybudowali wieżę z kryształu rżniętego i wszystkie podziemne morskie galerye, nagromadziwszy w nich wszystko to, co oglądałem. Z pewną dumą opowiadał mi na swój sposób o tych zdobyczach. Oni zaś, Wampiry nowocześni, uprościli tylko używanie niejednego przedmiotu i narzędzia i nie oddawali się już żadnej specyalnej pracy. Jedynym ich zajęciem było poszukiwanie za żywnością.

Zapytałem go, czy żyli długie lata; z wielkim trudem zrozumiał moje zapytanie.

Wstrętne jego oblicze wyrażało głęboki smutek i rezygnacyę, a skrzydła jego poruszyły się niespokojnie.

— Ja także będę zmuszony niedługo umrzeć — odpowiedział mi sposobem suggestyi.

Poczem stanął przedemną i ośm razy wzniósł i opuścił swoje łapy, wskazując mi tym sposobem ilość czasu, jaki mu pozostaje jeszcze do życia.

Ale czy mówił o tygodniach, miesiącach, czy latach, tego nie mogłem się dowiedzieć, choć starałem się go zmusić do jaśniejszego wytłumaczenia się.

W kilka dni dopiero później, poznałem prawdę. Zauważyłem, że Wampirów wszystkich opanowało dziwne przygnębienie. Zdawali się być pod wpływem i władzą wyższej istoty, której imienia wymienić mi nie chcieli, a która jak utrzymywali posiadała potężną władzę odgadywania z oddalenia wszystkich ich czynności i myśli. Wampir udzielił mi tych wyjaśnień, drżąc całem ciałem i objawiając ogromne przerażenie.

Był tak smutny i przygnębiony, że uczułem litość dla tej biednej, bezsilnej istoty.

Na podobieństwo starożytnych Minotaurów, ten Moloch, którego obrazowe hafty na tkaninach, przedstawiały jako półkule promienne, wymagał każdego miesiąca daninę z żywych Wampirów, które natychmiast pożerał. Nikt, oprócz wybranych ofiar, nieśmiał przekroczyć granic puszcz i mórz, wiecznie huczących grzmiącemi burzami i huraganami, gdzie przebywał ten potwór potężny. Obrał on sobie miejsce zamieszkania w stronach południowych, najgorętszych na planecie.

Próbowano zaspokoić go innemi ofiarami — odrzucał wszystko. — Tylko Wampiry byli dla niego żerem odpowiednim, a jeszcze zjadał tylko ich głowy, uznawszy łapy i skrzydła jako niedość strawne dla jego delikatnego żołądka. Niegdyś, w dawnych czasach, ofiary tych uczt krwawych, usiłowały się zbuntować i tłumnie, za ogólną zgodą. oddality się ku stronom północnym planety. Ale naprożno. Wszędzie dosięgła ich straszna zemsta żarłocznego bożka i pokonała. Całe zastępy wież kryształowych zostały zniszczone w proch od uderzeń pioruna. Wampiry, z niezwalczoną i niewidzialną siłą zostali wydarci z kryjówek, gdzie się w popłochu schronili. Straszny potwór dosięgnął ich w najgłębszych pieczarach, w szczelinach skał i gór, w najciemniejszych gąszczach odwiecznych lasów.

Te krwawe kary odniosły swój skutek; od pewnego już dłuższego czasu, żaden bunt nie zorganizował się przeciw wszechwładnemu tyranowi, każdego miesiąca przeznaczona liczba biernych, zrezygnowanych ofiar, przygotowywała się do lotu w przeklęte, południowe strony — aby więcej nie powrócić.

Wampir, służący mi za tłumacza, chciał zapewne dać mi do zrozumienia, że pozostawało mu tylko ośm miesięcy wolnych do odlotu, i że kiedy jego kolej nadejdzie, pospieszyć będzie zmuszony aby ofiarować dobrowolnie swoje życie strasznemu Molochowi.

Te zapewnienia jednak nie zdawały mi się być prawdopodobne; przemożna potęga, prawie cudowna władza tego żarłocznego potwora wydała mi się przesadzoną i ubarwioną legendą, jak również nie bardzo chciało mi się wierzyć we wzrost jego olbrzymi i niezwykły. Wampiry utrzymywali, że głową dosięga wielkiej góry, a otoczony jest zewsząd koroną płomieni.

Myślałem początkowo, że to może wulkan lub jakiś fenomen natury tego rodzaju, którego ofiarą musieli paść niegdyś skrzydlaci mieszkańcy tej części planety i to zapewne w okolicznościach, które spotęgowały ich przerażenie i niezatarte wspomnienie pozostawiło w ich lękiem podnieconych wyobrażniach. Ale w rzeczywistości nie wiedziałem co o tem myśleć.

Wogóle Wampiry nie lubieli wspominać o tym przedmiocie i okazywali wielki smutek i przygnębienie, gdy starałem się koniecznie skłonić ich do zwierzeń w tym kierunku, a nawet raz, mój przyjaciel-tłumacz dał mi do zrozumienia, abym o strasznym bożku nigdy już nie wspominał, gdyż drażni to tylko niepotrzebnie jego towarzyszów. A jednak przekonałem się, że było coś z prawdy w jego pierwszych zwierzeniach, bo byłem sam świadkiem w dniu wyznaczonym odlotu konwoju Wampirów ku południowi.

Było to widowisko, które na długo pozostanie w mojej pamięci. Nie powiedziałem wam jeszcze, że od chwili odkrycia tych niewidzialnych istot, nie zdejmowałem kaska opalowego tylko w godzinach przeznaczonych na wypoczynek. Tego dnia właśnie, przespawszy się kilka godzin przed zachodem słońca, odbyłem długą wyprawę po licznych galeryach, kiedy uwagę moją zwróciły szalone okrzyki, wycia, wybuchy ostrego śmiechu, co jest u Wampirów objawem głębokiego wzruszenia.

Nałożyłem spiesznie mój kask opalowy i wybiegłem po spiralnej pochyłości, aż do kryjówek, do których nie obawiałem się już zaglądać, wiedząc, że mnie tam nic złego spotkać nie może.

Olbrzymie wewnętrzna przepaść wypełniona była tłumem Wampirów, które w szalonym pędzie latały wokoło, w nieopisanym popłochu, wydając żałosne jęki i okrzyki przerażenia. Nigdy nie wyobrażałem sobie aby te potwory o wyglądzie zimnym i odpychającym mogły odczuć tak głęboko boleść i niepokój. Jednakże, po chwili, każden z Wampirów objął swoje miejsce w przeznaczonej mu kryjówce, nie przestając zawodzić i lamentować i ujrzałem jak ci, którzy zajmowali kryjówki najwyższe, tuż obok platformy, łapczywie wypróżniali miseczki napełnione krwią po same brzegi.

W tej chwili Phoibos i Deninos wypłynęły wolno na horyzoncie, jaśniejące żywym blaskiem na tle czystego i spokojnego nieba. Na ten widok wzniosła się orgia szalonych, rozpaczliwych okrzyków. Byłem nimi wprost ogłuszony. I nagle Wampiry, z najwyższego rzędu, uniosły się miarowem uderzeniem skrzydeł, wyrzucając ku księżycom ostatnią żałosną skargę i sformowały się w trójkąt, jak to czynią stada dzikich gęsi i jaskółek, przygotowując się do zimowego odlotu corocznego. I prawie natychmiast, nie oglądając się poza siebie, sunęły szybko ku południowej stronie. Odlotowi temu długo towarzyszyły jęki i płacz pozostałych towarzyszów, którzy wiedzieli, że i oni wkrótce podążą tą samą drogą! Ze wszystkich najdalej położonych kryształowych wież, wśród morza, wzbijały się te odloty, powiększając zastęp nieszczęśliwych, biegnących ku pewnej śmierci. Rozdzierające okrzyki napełniały powietrze. Ten wrzask przenikliwy, podobny do śmiechu szaleńca, czynił na mnie wstrząsające wrażenie.

Pojmowałem teraz jasno, że poza wstrętną maską Wampirów, znajdowała się ich dusza inteligentna i podatna na cierpienie. Odkryciem tem byłem głęboko wzruszony i przejęty. Przyznaję, że litość szczera zrodziła się we mnie dla tych niezwykłych stworzeń i szukałem sposobu ratowania ich przed obłędnem przerażeniem, jakie wywierał na nich daleki, bezwzględny potwór krwiożerczy.

Wkrótce połączone zastępy Wampirów utworzyły gęstą chmurę, zasłaniającą jak ściana horyzont południowy i powoli znikła zupełnie we mgle jasnej.

Na obszernych platformach kryształowych wież wycia i okrzyki przycichły.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Na obserwacyjnej placówce, połączonej telefonicznie z baterą.



Z wojny. Oficerowie niemieckiej artyleryi w zabezpieczonym podkopie bateryi.

Po pogromie Belgii.

Zwycięskie armie generałów Emmicha i Beselera rozbiły zupełnie państwo króla Alberta belgijskiego. Wojska niemieckie zajęły wszystkie twierdze, miasta i miasteczka, zalały cały kraj, a jednak nie podbiły, bo rozbitki armii belgijskich zebrały się na maleńkim skrawku, od Nieuport do Ypres, gdzie wspomożone przez świeże dywizye francuskie i angielskie prowadzą nadludzką wprost defeuzywę.

W ostatnich dniach armia niemiecka otrzymała znaczne posiłki i zrównawszy się siłami z nieprzyjacielem posuwa się naprzód. W ręce niemieckie dostają się setki jeńców i obrona wciąż słabnie. Szybko zbliża się chwila ostatecznego zajęcia Belgii, a może przełamania w tym miejscu frontu francusko-angielskiego. Będzie to prawdopodobnie decydującym momentem dla gigantycznej bitwy ludów w północnej Francyi.



Z wojny: Specyalny karabin do walki z aeroplanami.



Z wojny: Niemiecka piętnastocentymetrowa haubica polowa podczas strzału.

Kronika tygodniowa.

Zdarzyło mi się pewnego razu, iż wybrałem się na koncert wraz z mą połowicą i najstarszą córką, jak bowiem wiadomo zapewne każdemu z Czytelników, redakcye otrzymują zawsze po kilka biletów wolnego wstępu dla swych współpracowników, którzy za to obowiązani są do przychylnej krytyki popisów muzykalno-wokalnych, choćby się na tem nawet nie znali i robienia publiczności.

Rzecz oczywista, że trzymałem się na uboczu w towarzystwie męskiem, udając kawalera i przy tej sposobności zawarłem znajomość z pewnym bardzo sympatycznym jegomościem, który przybył do Krakowa w celach matrymonialnych.

W toku rozmowy zapytał mnie mój nowy znajomy:

— Panie łaskawy, czy nie wie pan, co to za czupiradło siedzi w pierwszym rzędzie krzeseł na prawo?

Skierowałem wzrok we wskazanym kierunku i przekonałem się, że to moja najdroższa żona, która, rzec muszę nawiasowo, rzeczywiście urodą nie grzeszy i sam nie wiem z jakiego tytułu zalicza się do płci nadobnej.

— To moja lepsza połowa! — odpowiedziałem uśmiechając się pod nosem na widok rzadkiej miny, jaką zrobił mój interlokutor.

— Najmocniej przepraszam! — wybełkotał zażenowany widocznie — Ja nie miałem na myśli tej dystyngowanej damy, tylko tę drugą, która obok tak się rozparła!

— To znów moja córka!...

Zbaraniał do reszty, po chwili zaś, widocznie nie mogąc zapanować nad sobą, dodał:

— Niech mi pan dobrodziej nie bierze tego za złe, ale ja ogromnie lubię otwartość. To już dziedziczne w naszej rodzinie!... Jak można było okazać tak mało gustu w wyborze dozgonnej towarzyszki życia?

Odparłem sentencyonalnie:

— Ja, kochany przyjacielu, cenię otwartość i odpłacam za nią tą samą monetą! Ja sam dziś tego żałuję, to jest, właściwie mówiąc, jestem ze swego losu najzupełniej zadowolony..., bo muszę. Pamiętaj jednak, że nie to ładne, co rzeczywiście ładne, ale to, co się człowiekowi podoba... A moja Weronisia bardzo mi się ongiś spodobała, zwłaszcza, że mówiono o niej, iż po najdłuższem życiu swych rodziców odziedziczy wcale przyzwoitą kamieniczkę z zupełnie czystą hipoteką...

Zdaje mi się, że go przekonałem, kiwnął bowiem głową i zamyślił się poważnie.

Otóż, to samo, co ongiś rzekłem owemu jegomościowi, powtórzę dziś Szanownemu Autorowi listu z daty Kraków, 17. października, 1914.

Pan ów, podpisany „Krakowianin" pisze między innemi:

...W czasach, gdy pożoga wojny objęła niemal świat cały, Pan, wielce Szanowny Panie Kronikarzu, powinien dostosować się do powagi chwili i w tygodniowych artykułach swoich podawać nam wypadki lub też ich streszczenie w tym tonie, na jaki zasługują. Tymczasem kroniki pańskie biorą wszystko jedynie ze strony humorystycznej, a przytem grzeszą głównie tem, iż omawiają fakty drobne lub nic nie znaczące, pomijając natomiast te, które są główną wypadkową wszystkich obecnych zdarzeń. Cenię wysoko dowcip i talent WPana, radbym jednak, a ze mną pewnie i niejeden, by lutnię swą nastroił Pan Kronikarz bodaj czasem na tragiczną nutę i dobył z niej tony, które nie tylko każą się śmiać, lecz zarazem płakać".

W obronie swej muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że artykuły poważne, traktujące o wypadkach bieżących, znajdują stale pomieszczenie w „Nowościach Illustrowanych" na innem miejscu, kronika tygodniowa przeznaczoną jest natomiast gwoli rozweselenia Czytelnika, który za swoje trzydzieści dwa halerze chciałby nie tylko samej powagi, ale bodaj troszeczkę krotochwili, co, jak stwierdziły kapacitety lekarskie, wpływa nader dodatnio na wszelkie nasze funkcye życiowe, reguluje je wyśmienicie i podnieca, zagrzewając umysł do szlachetnych czynów. Wszak już pan Onufry Wczele Zagłoba tylko dlatego dożył tak poważnego wieku, że potrafił przetrwać nawet „Potop", iż nie zapatrywał się tragicznie na wypadki współczesne i wolał śmiać się, niż płakać.

I ja, który podobno od niego (aczkolwiek dokonał żywota w świętym stanie kawalerskim...) ród swój wywodzę, jestem tego samego zdania i z tej przyczyny, choć mi Autor listu nie wierzy, doczekałem się pogodnej starości i mężnie noszę jarzmo małżeńskie od lat prawie trzydziestu.

Dodam, iż niniejsza interpelacya jest pierwszą, wzywającą mnie „w imieniu prawa" do powagi, jaką otrzymałem w ciągu mej sześcioletniej karyery kronikarskiej, natomiast w archiwum swem przechowuję cały plik korespondencyi, żądających stanowczo, bym się starał być jak najweselszym, co, niestety, nie zawsze mi się udaje. Jednem słowem, kroniki, podobające się innym, nie podobają się Szanownemu „Krakowianinowi" i na odwrót, gdybym posłuchał Jego rady, ściągnąłbym na swą niewinną głowę tysiące gromów.

Wyobrażam sobie, że najbliższy list byłby tej treści:

„Dość tragedyi w życiu! Daj się wypchać Szanowny Kronikarzu i pomalować na zielono, jeśli masz nas karmić samemi poważnemi rzeczami!"

Ale, dotąd się jeszcze nie urodził, ktoby wszystkim dogodził, nic też dziwnego, że i niżej niepodpisany kronikarz ma zwolenników i przeciwników, choć chciałby być, jak ów kalwaryjski dziadek z lirą, który pewnej nabożnej pątniczce miał zaśpiewać za dwa centy coś smutnego i za dwa coś wesołego, ale w jednej pieśni.

W kronice to się jednakowoż przeprowadzić nie da. Jeśli ma być wesołą, to cała, od początku do końca.

Aby jednak zadowolić Szanownego Autora listu, postaram się niniejszą kronikę nastroić na poważną nutę, by, niczem owa cebula, wyciskała łzy z oczu mych P. T. Czytelników, zwłaszcza, że zbliża się dzień Zaduszny, który każdego usposabia do smutku.

Pozwolę sobie dodatkowo zauważyć, iż list wyżej zacytowany wyszedł z pod pióra (tak mi się przynajmniej wydaje!) tego samego Czytelnika, który, jako „Jeden z wielu", wybeształ mnie pod datą 20. lutego 1914, iż chwalę dyrektora Pawlikowskiego za jego artystyczną działalność, gdy on tymczasem na to nie zasługuje.

Porównywałem oba pisma i znalazłem w nich bardzo wiele wspólnych cech charakterystycznych, i na nich też opieram swój sąd, nie wiem, czy trafny, gdyż, jak już swojego czasu zaznaczyłem, na grafologii się nie znam, a redakcyjny nasz grafolog walczy gdzieś pod Warszawą, czy Dęblinem.

Proszę więc o nastrój poważny, śmianie się zakazane jest pod grzywną, względnie karą aresztu.

Nawiązując do zakończenia poprzedniej kroniki, traktującej o „pechu", muszę zaznaczyć, że prześladował on mnie w samej rzeczy. Rozpisałem się, jak się patrzy, tymczasem pan metrampaż, który nie zna, co to żarty, powiada: „Dość! Ani kroku dalej!"

Wobec tego dziś dopiero mogę ukończyć ów pechowy traktat, oddając pierwszeństwo ze względu na płeć owej wróżce, która przepowiedziała na dzień 15. października zajęcie Warszawy przez wojska sprzymierzone, nie określiła przecież roku. Na razie zawiodła się, tak samo jak konsul niemiecki ze Lwowa, który twierdził, iż od 20. października będzie już urzędował nad Pełtwią.

Największego przecież, takiego prawdziwego „pechów pecha" mają nasi gimnazyaliści, którzy, wbrew oczekiwaniu, rozpoczęli już rok szkolny, z czego bynajmniej nie są zadowoleni. Proszą Boga, by jeszcze Grecy wypowiedzieli Austryi wojnę, nadarzyłaby się bowiem doskonała sposobność do rozpoczęcia na całej linii bojkotu różnych Homerów, Herodotów, Sofoklesów i jak się tam jeszcze nazywają ci panowie, wynalezieni na utrapienie młodego pokolenia.

O swym pechu dużo także mógłby opowiedzieć pan Pasicz, któremu sprawiły lanie serbskie sufrażystki w Niszu. Nawet cierpliwym niewiastom sprzykrzyła się już polityka obecna, wyładowały więc swą energię w sposób dla ekscellencyi niezbyt przyjemny. Serbia, jak z tego widać, europeizuje się, Serbki wstępują w ślady Angielek. Choć niema między niemi pani Pankhurst, nie ustępują jej przecież w dzielności i zyskują światową sławę swemi „robotami ręcznemi". których ślady nosi serbski premier na swym dostojnym cyferblacie.

A Anglicy nie mają może pecha z owym „latającym Holendrem", jak słusznie nazywają gazety krążownik „Emden", który pojawia się tu i ówdzie, aby zatopić jaki okręt angielski i zniknąć potem, jak kamfora. Nawarzyli sobie samochcąc piwa, teraz muszą je wypić. Pod wodą dokuczają im łodzie podwodne, na jej powierzchni prześladuje ich „Emden", na lądzie „gruba Berta", w powietrzu zaś Zeppelin.

Trudno jednak, jak wojna, to wojna!

Miałbym ochotę owej „grubej Bercie" poświęcić słów bodaj parę, gdyż na to w całej pełni zasługuje, boję się przecież, czy to będzie licować z powagą kroniki. Zresztą mógłbym wejść w kolizyę z swą władzą domową, która już kiedyś, gdym przez sen bredził coś o „Bercie", wzięła mnie na spytki zaraz rano, co to za kobieta, gdzie ją poznałem, co mi się o niej śniło i t. d. Śledztwo, dzięki Bogu, wypadło pomyślnie. Magnifika kręciła z początku jakoś niedowierzająco głową, dała się przecież przekonać, gdym jej przedstawił autentyczne zdjęcie, przedstawiające „grubą Bertę" przy pracy.

Takiej rywalki nie obawia się żadna kobieta. Mnie to po części zadowoliło, widzę, że poczciwa Weronisia jeszcze mnie kocha, skoro jest zazdrosną. Powiem przecież w sekrecie, że ta jej miłość czasem mi już wyłazi bokiem i nastraja mnie melancholijnie, jak tego właśnie żąda pan „Krakowianin".

Natomiast, ilekroć nadarza się sposobność, by pochwalić coś, co odnosi się bodaj pośrednio do Galicyi, wszelakie *Schreibjüngelesy* wiedeńskie zachowują głębokie milczenie. Widzimy to teraz z okazyi wypadków wojennych. Cała prasa wiedeńska, a za nią zagraniczna, podając sprawozdania z pola walki, rozpływa się nad bohaterstwem n. p. honwedów i poświęca im całe szpalty, o wojsku galicyjskiem nie wspomina wcale, albo tylko półgębkiem. A przecież, jak wiemy z opowiadań naocznych świadków, nasza piechota, kawalerya i artylerya nie ustępuje w niczem ani Niemcom ani Węgrom, kto wie nawet, czy ich w męstwie i sprawności bojowej nie przewyższa.

Nie mogłem się dość nadziwić, że naszym Legionom poświęcono wzmiankę, wprawdzie dość ogłędną, ale przecież i to coś warte na te ciężkie czasy.

A propos wojny muszę wspomnieć jeszcze o nowej zupełnie nerwicy, tak zwanej mobilizacyjnej, która właśnie w tych czasach pojawiła się u nas, przybierając nawet charakter epidemiczny, zwłaszcza jak nas informuje fizykat, w południowych okolicach miasta.

Słabość ta pojawia się w okresie asenterunkowym, zwykłym lub nadzwyczajnym, a ulegają jej obowiązani do noszenia broni. Do objawów chorobowych zaliczyć należy przedewszystkiem gwałtowne swędzenie w okolicy pięt i ogromną chęć znalezienia się jak najdalej od miejsca przynależności.

Nasi klinicyści pracują nad obszerną monografią tej nerwicy, która niezawodnie nie wygaśnie aż do końca wojny.

Inżynier Michał Schwarz obecnie Bardyjów, Węgry. Fő-Ter Nr. 21 zamieszkały, szuka Stanisława Kareckiego, sekretarza Rady pow. w Husiatynie, który ostatnio miał być w Szeszorach lub Kosmaczu obok Kosowa.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół, poda nam zdarzenie polityczne, zajmujące ciągle jeszcze uwagę Europy.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2 Rzeka. 3. Gwałtowny opad 4 Góry w Europie. 5 Szlachetny metal 6. Część twarzy. 7. Nakrycie. 8 Klatka. 9. Egzotyczny władca. 10. Roślina. 11. Wehikuł. 12 Pierwiastek. 13. Miasto w Finlandyi. 14. Niewierny. 15. Związek chemiczny. 16. Budowniczy. 17. Kraj, należący do Węgier.

Przysłowiówka.

Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Co chrzan, to łyżka.
2) Wie tylko tyle, że ma plecy wtyle.
3) Na choroby są sposoby.
4) Kto pili, nie zmyli.
5) Każdy o sobie myśli.
6) Nietoperz w pustą głowę nigdy się nie wkręci.
7) Z głupiej głowy nawet włosy uciekają.
8) Kąkol mąkol, a kostrzewa plewa.
9) Slepy w karty nie gra.
10) Rok traci, rok bogaci.
11) Murzyn murzyna nie usmoli.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Kiliński, Jeleśna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Mania W. je rdze, ość, siłe i ter.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Trzebinia.

Wojna! Wojna! Europa
Cała w ruchu!... To ci szopa!
Sciska Ferdek *siódmą – szóstą*,
Trzecią – szóstą Stach całuje,
I wsunąwszy pieczeń tłustą,
Setnie sobie pogwizduje.
Z góry każdy *ósma* o tem,
Jak gorąco będzie potem,
Kiedy *pierwsza* przyjdzie wroga,
Lecz chwilowa przeuknie trwoga,
Czwarte – piąte się zapłoni...
Naprzod wiara! Hej! Do broni!
Pierwsza drugich – trzecich – czwartych!...
Gnać za Ural na upartych!
Całość.. By nam piosnka żyła:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Łamigłówka.

Ułożył Jan Foking z Dębnik.

Uzupełnić podane wyrazy. Początkowe litery, czytane z góry na dół, podadzą zdarzenie, zajmujące dziś świat cały.

— oda
— zon
— ura
— awa
— ron
— zaw
— ral
— ada
— pal
— ora
— mir
— ama
— ara
— ora
— dam.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Lęki, często, ibis, but, unie.

Logogryf.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znaleźć miasta w podanych poniżej krajach. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę pierwszej stolicy Polski.

□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Kraje: 1. Szwecya. 2. Dalmacya. 3. Rosya. 4. Kroacya. 5. Szwajcarya. 6. Włochy. 7. Syberya. 8. Bessarabia. 9. Francya.

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *J. Wiśniowskiego:* **Sen dnia letniego.** Trzyaktowy pastel sceniczny.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 42.

Krzyż magiczny:

W S J
e t e
z a n
W e z u w i u s z
S t a w i s z y n
J e n i s e j s k
u z j
s y s
z n k

Zadanie do przestawienia: Patrz swojego nosa, nie cudzego prosa.

Przysłowiówka: Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię.

Zadanie do przestawienia: Od przybytku głowa nie boli.

Szarada: Cecora.

Logogryf:

M o r f i n a
K o r a l
B a r
B a n a n
H y a c y n t
K r a s i ń s k i
W e r e s z y c a
K a s z m i r
A t e n a
O k o
R e k i n
K a r a b i n
E s p a r c e t a
B u d a p e s z t
J u l i u s z
Z o ń k a
O s a
O s k a r
R e n i f e r

Zadanie do przestawienia. Cicha woda brzegi rwie.

Równanie: Masło + Kurzawa + Chmielnicki = Słowacki.
Ballada + malaga + Cyklady + Bona = Balladyna.

Szarada: Czereśnie.

Trójkąt magiczny:

M a c i e j o w s k i
A k c e p t a c y a
C h a r a k t e r
I m m e r s y a
E g o i s t a
J a s s y r
O w i e s
W o d a
S i r
K n
I

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Kolbuszowa, M. Wyka Rzeszów, D. Ligęza Tarnów, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, S Jasiński Rzeszów, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło. I. Brzostowski Krosno. S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Rzeszów, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Rozwadów, J. Krawecki Przemyśl, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Krosno, J. Łopatkiewicz Jasło, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, J. Broda Rzeszów. K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Tarnów, A. Dużak Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Sokołowski, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Odważny.

Wiejski golibroda żegna landszturmistę, powołanego pod broń i zapytuje go, czy się nie obawia. Ten mu zaś na to:

— Czegóż mam się obawiać na wojnie, gdym się nie bał golić u pana co niedzielę?

Telegramy z placu boju.

(Na własnym drucie z parasola).

Londyn: Biuro admiralicyi donosi: Wczoraj wieczorem flota nasza natknęła w Kanale na coś, co zdaleka wyglądało na niemieckie łodzie podwodne. Ostrzeliwaliśmy je przez dwie godziny, pokazało się jednak, że były to nie łodzie, ale śledzie, którym pociski nasze nie wyrządziły żadnej widocznie szkody, odpłynęły bowiem w stronę Helgolandu. Dwa nasze krążowniki, które puściły się za nimi w pogoń, najechały na miny i zatonęły. Rozpoczęliśmy pracę, by je zamienić na łodzie podwodne.

Petersburg: Dotąd zgłosiło wstąpienie do armii rosyjskiej dwu ochotników, obaj jednak oświadczyli, że pragną służyć nie w linii, ale w intendanturze i żądają wliczenia do służby lat, spędzonych w kryminale i na Syberyi.

Paryż: Z powodu trudności dowozu, artykuły spożywcze podskoczyły w cenach. Aby zapobiedz drożyźnie, rozkazał jenerał-gubernator Paryża wybić zwierzęta z ogrodu zoologicznego, a mięso ich obrócić na ogólny użytek. Wobec tego dziś na kartach restauracyjnych widnieją: flaczki z hippopotama, trąba słoniowa na gorąco z chrzanem, lwi ogon w sosie pomidorowym.

Londyn: Były król belgijski, Albert I, z powodu chwilowego braku zajęcia, poszukuje jakiejś odpowiedniej posady. Łaskawe zgłoszenia na ręce trójporozumienia pod szyfrą: „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“.

Autentyczne.

Jeden z jenerałów rosyjskich, czytając w gazecie o owym obywatelu, który ofiarował po tysiącu koron dla zdobywcy pierwszej chorągwi rosyjskiej i pierwszego działa, kiwa głową z politowaniem i rzecze:

— Głupia swołocz! Ten się zna dopiero na interesie!... Dlaczego nie zgłosi się do mnie!... Za te pieniądze miałby dziesięć chorągwi i kilka armat...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.